

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

4

A stary Czekalski, gdy mu Bem przykazywał Ilińskiego hamować w zawadyactwie, rozśmiał się i odrzekł — kiedy zawiał się krzyża sobie wystukać. — Krzyża! Smykowi się zdawało, że to feta na Ujazdowie, albo parada na Pradze, kiedy łaskawość naczelnego wodza damom imponuje, a protegowane cnoty wojskowe nagradza! Nie, dobrze mu tak, niech sobie nie imaginuje. Chce mu się medali, niech się ciotki starościnie, czy babci wojewodzinie opowie, a po polu bitewnym niech się napróżno nie szasta.

Bemowi naraz przypomniała się nominacja na pułkownika, którą go obdarzono. Wzdrygnął się z odrazą.

— Nominacja! Tfy! Wolałby jej nie mieć... Pewnie, bo i jakże! Nie jego była tu zasługa. Łatwiej rozkazywać niż wykonywać! Dwadzieścia jeden lat służył! Należało mu się. Młodszy się przed nim wysforowali. Skrzynecki w dwunastym roku ledwie kapitanem był, gdy on, Bem, porucznikował. A gdzież teraz Skrzynecki! Cóż — nie szkodzi! Byleby był tym, kim go się spodziewano! Lecz to inna sprawa. W baterii siła awansów się należy. Raport do sztabu brygady! Cztery już napisał. — Wolałby jeden szewron dla kanoniera, niż buliony pułkownicze. I tak przecież baterią dowodził, od majora nią dowodził. Zaszczyt więc dla ramion, bo zresztą, po dawnemu wyglądać będzie musiał sztabowczyków, po dawnemu tyle zdoła, ile rozkaz poswojemu przeinaczy. A powiadał przecież Lubieńskiemu, aby szaniec przedmostowy ostrołęcki armatami obsadzić! Nie ugryźliby bitwy! Jeden Chrzanowski by umiał, pozbyli go się, wystali do Zamościa!.. U Honoratki mają rację. Do oczu im skakał, upierał się za Chłcickim, za Skrzyneckim, warchołami zwał patryotów. Krępowickiego chciał rozsiekać i doczekał się zwierzeń! Mataczyny i tego obleciały. I temu pilno do układów, do poddania. Inaczej by nie powiadał. Finis?! Bo go chcą, bo na niego pracują, bo dławią ducha, bo nie czynią. Ssmy, rządy, komisye, kluby — na cztery wiatry porozpędzać, rozkaz i ani kroku, bo kulą w łeb. Byłby i porządek i rygor i zwycięstwo. A inaczej... inaczej nawet Krępowicki wisieć nie będzie! — Eh, gdyby miał dziś pod ręką choćby drugie tyle armat... Co tam — jego prawo słuchać. Nie imć panu wodzowi służyć, jeno sobie. Swarów, zawiści, knowań i tak za wiele. Juści Skrzyneckiego desperacja zdjęła i lada co bąknął. Żołnierz jest, może nie tegi naczelnik, nie strateg, ale i nie zdrajca... Dobrze tym krzykaczom ozorami wojować. Toż tam jutro gorąco będzie, jak wieści nadejdą. Wuj Olechowski spije się na umór a lampka — Małachowski zgra się do ostatniego szeląga! I szkoda Honoratki, — gdyby jeno skinęła, nie takiego losu warta. Pewnie, kobieta, jak łania, lada pokraka, choćby w generalskim mundurze, do serca jej nie przypadnie...

Bem westchnął ciężko i zapatrzył się w dal.

— Nie szczęściło mu się, nie wiodło. Toć jeszcze za czasów, kiedy wuj Olechowski przy komisaryacie ubiorczym służył, kiedy to u Honoratki oficerowi nie zręcznie się było pokazywać, bo Makrot wietrzył a donosił, toć już wówczas Bem tam przesiadywał. Tam przecież, gdy kwaterował w Kozienicach, wyrwał się bez urlopu i tam uwikłał się w pamiętną awanturę z postrzelonym burdą, w awanturę, która zakończyła się dla niego dymisją za śmiertelny pojedynek, za samowolę, za przyjazd bez zezwolenstwa! I gdybyż dymisja tylko. Wszak ci radować się musiał, że do Galicyi, do rodzica, umknąć zdołał, że po latach służby, wolno mu było tułać się a belfrowaniem na chleb zarabiać. Okrutnie się namęczył, okrutnie natęsknił. —

Z początku Honoratka raz i wtóry całę dobrem pisanem go ucieszyła a zarzekała się, iż niech aby kupca na winiarnię znajdzie, a wnet do Lwowa pądy, i choć ani myśli, żeby mogła dostać paszporty zagraniczne, ona przecież sobie poradzi, bo nie darmo ma krewniaka w ułanach, co nad kordonem austriackim stoją. Dwa razy tak pisała. A potem ustało, ucichło... Daremnie stał do niej listy, daremnie wzywał. Po roku dopiero od porucznika Banińskiego, który z artylerii gwardii wyszedł i także we Lwowie familię miał, po roku dopiero dowiedział się coś o Honoratce... I wówczas zarzekł się, zaprzysiął. Ba i gdyby Anusia Wereszczyńska nie była go odpaliła, to podotąd byłby ułczon z tej pasji... A tak wróciła, sam nie umiałby sobie wytłumaczyć, jak wróciła. Spotkał na ulicy Horocha. Wstąpmy, powiada, do Honoratki. Niezręcznie było się wymówić — i zaczęło się znów.

Gorzej nawet, bo niegdy były pozory, było decorum jakoweś, było trzpiectwo, zalotność, pustota. A teraz żadnych złudzeń, żadnych niepewności. Honoratka nie udawała świętoszka. Ilu gości, tylu



Niema się po co schylać — w tracił pogardliwie Turmacki.

liczyła wielbicieli. I jakich! Cicha, przystojna niegdy winiarnia Honoratki była przecież nie tylko miejscem zebrania klubistów w rodzaju Krępowickiego, ale i domem gry i siedliskiem mętów różnego kalibru, nicponiów i ładaców pięci obojga. A on, Bem, wieczór w wieczór tam wysiadywał, przestawał z całą zgrają ludzi niegodnych pogardy, narażał się dobrowolnie na to, że go za jakobina, sankinlota, demagoga ogłaszano, wpadał w jakieś pijackie zatargi, szulerskie sprzeczki, wysłuchiwał godzinami mów, które w nim burzyły krew i dla tego przyglądał się godzinami obcesowym zalecankom do gospodyni, aby w ostatku zarobić na natrętne spojrzenie jej skośnych, podcienionych mocno oczu, by uledez uśmiechowi białej, sytej twarzy, jednemu z tysiąca uśmiechów, rozdawanych na prawo i lewo.

I gdy po nocy strawionej w winiarni, wracał do izdebki swej na Podwalu, wówczas zdejmował go bunt, bunt szalony. I przysięgał sobie i zarzekał się Honoratki i wymawiał słabość i wytrwanie sobie ślubował... A kiedy wzmocniony na duchu, pokrzepiony, zdeterminowany układał się do snu, gdy jeno powieki kleić mu się zaczynały, znów czuł na sobie spojrzenie natrętnych oczu Honoratki i znów rozchylały się ku niemu drżące usta a w uszach

szumiała mu jakaś pieśń odrodzenia, ocknienia, szczęścia.

Bem otrząsnął się gwałtownie i jak burza spadł na baterię.

Bateria na widok pułkownika, zerwała się na równe nogi. Bem wysłuchał raportu kapitana Orlikowskiego, obejrzał działa, zarządził oprzęgnięcie czterech koni wierzchowych na miejsce ubitych, trzech nowych kanonierów mianował, kazał rannych na pustych wózkach amunicyjnych wyprawić do Pułtuska, zruchował naboje, zlustrował szleje i wysuwki celownicze, wyznaczył dwie zmiany na noc i baterię dźwignął na stanowisko za mostem omu lewskim.

Tu dopiero, kiedy armaty rozkraczyły się wygodnie na podsypach a artylerzyści częścią legli pokotem, częścią popasali konie na mokradłach, a częścią stanęli w ordynku przy działach, tu dopiero, gdy w oddali zaczęły się snuć cienie wedet ułańskich, Bem zawołał na ordynansa i samotrzeć, w kącie na poły rozwalonej stodołki, do posiłku się zabrał a do spoczynku.

Lecz zaledwie głód jako tako zdołał zaspokoić, przybył adjutant naczelnego wodza z wezwaniem na radę wojenną... Bem zebrał się pośpiesznie, dosiadł konia i wzięwszy sobie staro Czekalskiego do eskorty ruszył za adjutantem.

Po oddaleniu się pułkownika, miarowemi krokami wart i nawoływaniem koniuchów ledwie odzywająca się bateria ożywiła się nagle, rozczmychała, zaszemrała. W środku pozycyi zatliły się fajeczki, tu i owdzie zabulgotaty butle, nawet konie pasące się czegoś śmieiej trawę drzeć zaczęły.

Kapitan Orlikowski niby się rozsierdził a napomniął surowo.

— Hej tam jeden z drugim, służba do krośset! Czuwaj!

Ale tem jeno wywołał rażną odpowiedź.

— Gdzieby się tam, pani kapitanie, po takim hycaniu do snu miało.

— I pewnie! — przyznały głosy.

— No, no — groził Orlikowski — byleś sobie nadto folgi nie dawał. Kto wie, co wypaść może.

— Myślę, że Dybicz jutro w Ostrołęce nie będzie... Toćbym przysięgał, że ściągają armaty...

— A żeby mu tak puknąć z granatnika.

— Milczeć tam! — ozwał się liżusowato podoficer Zarzycki.

— Jaki to chytrzec, niby fuka a boi się, aby mu cyganicha nie ogłuchła z kretelem — śmiał się w głos Surmacki.

Porucznik Jabłonowski, który wartę na linii wylotów armatnich trzymał, podszedł do Surmackiego.

— Co bajasz acan. Co za cyganicha?

— A no ta, którą pan podpukownik na jaszczyku trzymać kazał wachmistrzowi... Całą bitwą odprawiła!...

— Patrzcie!... Więc wytrzymała na wózku! Toż nie może być! Trzeba ją było zostawić...

— Niezawodnie, panie poruczniku, bo biedactwo użyć musiało strachu. Ale nie było kiedy. Pan podpukownik ledwie przykazał, gdy zatrąbiono i sko-puła ruszyliśmy... Niema co jaszczykiem ostatnim niby wiechciem miotło po wertepach — ona nie, wpiła się palcami i dobrze. Dopiero, kiedyśmy pierwszy raz odpręgli a wygarnęli — dziewczyna łomot z jaszczyka. Wachmistrz dostrzegł na szczęście, i cyganichę na pół żywą wciągnął nie opadli i tak dychała, aż póki nas grenadyerzy nie opadli i wachmistrza nie zakłóli. Cyganichę i to minęło. Wówczas Zarzycki konia swego dał Klimkowi, bo mu jego trębackiego ubili, a sam dziewczynę za włosy i na przodek armatni, a po tem, po łożysku do wózka i tu ją rzemieniem wpół do żelaznego oparcia...

— I wyszła cało.

— Potłuczona musi trochę — ale nic. Jeno, myślę, ogłuchła, bo ani słowa. Gorzałki wleśiły jej, tyknęła, ale co ani piśnie. Zwaliała się i leży tu na czapraku, tu zaraz...

(Ciąg dalszy nastąpi).